MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 50 WARSZAWA 20 LISTOPADA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

FRANCJA PRZECIERA OCZY

ZAMACH polskiego żyda Grynszpana na dyplomatę niemieckiego von Ratha poruszył silnie opinię francuską. Dzienniki poświęcają tej sprawie obszerne artykuły na pierwszych stronach. Wszystkie pisma, bez względu na różnice partyjnych programów, wysnuwają ze sprawy Grynszpana jeden wspólny wniosek: zadużo mamy we Francji cudzoziemców, którzy zjeżdżają do nas ze wszystkich stron świata po to, by korzystając z francuskiej tolerancji rozwijać w naszym kraju przeróżne nieodpowiedzialne, a niebezpieczne w skutkach działania, by nawet dopuszczać się zbrodni. „Francja nie jest terenem polowań na dyplomatów"— woła jeden z publicystów. Oburzenie Francuzów na postępowanie ich gości wyraża się w żądaniu usunięcia z kraju niepożądanych, a kłopotliwych przybyszów.

„Skutki perfidnych zamachów na Niemców z tej jedynie przyczyny, że są Niemcami — pisze z okazji sprawy Grynszpana „*Berliner Tageblatt*"— spadną całym swym ciężarem na współwyznawców tych, którzy tych zamachów się dopuszczają. Międzynarodowe żydostwo znowu oddało strzał w lustro".

Niewątpliwie, Niemcy każą sobie drogo zapłacić za krew von Ratha. Nie pierwszy to już raz żydostwo odpokutuje za słabość swych nerwów i niepoczytalność odruchów. Ale tym razem zaszkodzili sobie żydzi więcej, niż to się może na pozór wydawać. Nietylko bowiem Niemcy zareagują na popełnioną zbrodnię. Oburzenie Francuzów, skierowane przeciw wszystkim wogóle nieproszonym cudzoziemcom, coraz wyraźniej ześrodkowuje się na żydach. Francja, która antysemityzm uważała zawsze za coś zgoła niekulturalnego i absurdalnego, powoli uczy się antysemityzmu. Zbrodnia Grynszpana wywołała przedewszystkiem żądanie usunięcia z Francji niefrancuskich żydów. Wprawdzie każdy publicysta, który tę sprawę porusza, poczuwa się do obowiązku zastrzec się na wstępie, że nie jest antysemitą, i że niema nic przeciwko żydom francuskim, już zasymilowanym i pracującym na równi z Francuzami dla dobra Francji—ale żądanie usunięcia z Francji żydów nie francuskich wydaje im się w pełni uzasadnione. Nie widzą w tem kolizji z zasadami demokracji i tolerancji, które dla Francuza nie są artykułami doktryny politycznej, ale częścią dorobku francuskiego ducha, wartością narodową. Jest to już coś nowego. Niejako pierwszy krok do antysemityzmu. A dalsze kroki już słychać zdaleka. Oto bowiem pojawiają się takie głosy:

„Nigdy nie robiono polityki mniej francuskiej, a bardziej republikańskiej niż dziś. Żyd polski strzela w ambasadzie. Żyd bułgarski chce na nowo zostać premierem. To Leon Blum". („*Action Francaise*").

Różnica między Republiką a Francją rysuje się wyraźnie przed oczyma Francuza. Mogą się grubo przeliczyć ci, którzy sądzą, że Francuz jest przedewszystkiem republikaninem, a dopiero później Francuzem. Jest wprost odwrotnie. Dość posłuchać tonu kazań we francuskich kościołach, kazań, w których patriotyzm dźwięczy nieraz bodaj równie donośnie, jak wiara, przemówień na otwarciu roku akademickiego w Sorbonie, przemówień profesorów do studentów na zebraniach fakultetów—by się o tem przekonać. Ostatnie wydarzenia w polityce europejskiej zbudziły we Francji czujność. Francja, praca dla Francji, odbudowa, czy też naprawa Francji—te słowa są na wszystkich ustach. Nasza własna historia uczy nas, że nie wtedy źle się w narodzie dzieje, gdy woła się o naprawę rzeczypospolitej, ale gdy panuje bierne zadowolenie ze stanu rzeczy. Te nawoływania o naprawę Francji świadczą o sile jej ducha. A chwila obecna jest taka, że nie doktryna, ale konkretne sprawy narodowe muszą zaprzątać uwagę. Dlatego nie Republika, ale Francja jest na wszystkich ustach. W sercach była ona zapewne zawsze na pierwszym planie i jeśli

Francuz utożsamiał republikę z ojczyzną, to dlatego, że republikanizm poczytuje on za coś specyficznie i niezbędnie francuskiego.

Ale w chwili obecnej doktrynerstwo, nawet narodowe, musi przycichnąć wobec spraw konkretnych. Jeśli więc chodzi o sprawę Grynszpana—wypadła ona w chwili bardzo dla żydów niebezpiecznej. Doktryna tolerancji, choćby się ją uważało za najbardziej francuski składnik kultury tego kraju, może zejść na drugi plan wobec faktów. Tak to zdarzyć się może, że żydzi nauczą Francuzów antysemityzmu. Głosy żydów alzackich, którzy poczęli wołać teraz właśnie, że dość już mówić o asymilacji, że trzeba krzewić żydowską kulturę, dążyć do żydowskiego państwa—mogą się przyczynić do zachwiania wiary Francuzów w asymilację. Głosy te wywołały już nawet protest ze strony zasymilowanego żyda, byłego kombatanta — Edmunda Blocha, który ostrzega żydów alzackich, że tego rodzaju hasła są nader niebezpieczne.

Są to istotnie wystąpienia dla żydów niebezpieczne. Po niedzielnem nabożeństwie w *Nôtre-Dame* wąsaci byli kombatanci, z orderowemi wstążeczkami w klapach marynarek, sprzedają wychodzącej z kościoła publiczności skromny tygodniczek: organ antyżydowski i antymasoński!—wołają. Tygodniczek jest mizerny, sprzedawcy mają miny starych poczciwców, wszystko tam wygląda niegroźnie. Można wzruszyć ramionami i spokojnie przejść do porządku dziennego nad takim antysemityzmem. Ale nam to coś przypomina. Tak to jeszcze przecież niedawno antysemityzm w Polsce był sprawą poczciwców, sprzedających pod kościołami ubogie pisemka i sprawą zacietrzewionych młodzików. Upowszechnienie antysemityzmu w Polsce może nasunąć daleko idące refleksje w związku ze stanem rzeczy we Francji. Tembardziej, że nastroje antysemickie nurtują w masach narodu. Politycy oficjalni odrzekają się od antysemityzmu, ale instynkt człowieka prostego nie śpi.

W chińskim dancingu, gdzie gra dziki *dżez-bend* murzyński, posługaczka, jedyna bodaj Francuska wśród wielu Chińczyków, Negrów, melanezyjczyków i wszelkich możliwych mieszańców, skarży się z troską w głosie: To poprostu okropne—takie masy cudzoziemców! A żydzi! Zabrali cały nasz handel. Nie mogę patrzyć na nich, gdy udają Francuzów.

Niech nikogo nie bawi, że przytaczamy tu głos posługaczki z dancingu. Nie jest ona bynajmniej śmieszna—jest poważna. Polityk na trybunie jakże często bywa pajacem! Człowiek prosty nie jest nim nigdy. A prędzej czy później dochodzi on zawsze do głosu — w nim bowiem przechowuje się nieoceniony skarb: instynkt.

*

* *

Sprawa Grynszpana ma swoją polską stronę. Jest to bardzo przykra strona tego medalu. Gazety francuskie piszą o młodym zabójcy „*un juif polonais*" albo „*un polonais*" poprostu. Dla każdego Polaka łączenie Polski z tą sprawą jest wielce przykre. Ale, niestety, fakt, że Grynszpan jest obywatelem polskim, że legitymuje się polskim paszportem, upoważnia w pełni, trzeba to przyznać, do łączenia tego słowa, które dla nas oznacza najwyższe wartości, z opisem żydowskiej zbrodni. Nie można winić zbytnio Francuzów za to, że żyda, który jest tylko polskim obywatelem, nazywają częstokroć poprostu Polakiem. We Francji uważa się za Francuzów negrów z francuskich kolonij, rozróżnienie między przynależnością państwową a narodową — właściwie nie istnieje. Państwo i naród to jedno. Niewątpliwie, przeciwstawianie narodu i państwa jest objawem niezdrowym—występuje ono tam, gdzie naród nie jest dopuszczony do głosu, lub gdzie znajduje się on w stanie choroby, zakażony przez obce naleciałości. W innych wypadkach, w wypadkach normalnych, przeciwstawienie to ma miejsce tylko w teoretycznych rozważaniach socjologów i polityków. Francja nastawiona jest na normalność swego życia—nie chce widzieć, czy też poprostu nie dostrzega objawów chorobowych. Dlatego też nie istnieje tu rozróżnienie między obywatelem a członkiem narodu.

„*Un polonais*" powiadają Francuzi. Prestiż polski cierpi bardzo z racji zagranicznych występów takich właśnie „Polaków". A ich to przedewszystkiem ogląda zagranica, na nich się uczy, co to jest Polska. Można się łatwo domyślić, jakie są wyniki tej nauki. Polak prawdziwy, gdy wyjeżdżając zagranicę, załatwia formalności paszportowe w konsulatach, już wtedy czuje się tak, jakby był w obcym kraju. Sami żydzi. Tłumy młodych Grynszpanów, z polskimi paszportami w ręku oblegają konsulaty w Warszawie. Wśród stypendystów takiego np. Instytutu Francuskiego w Warszawie zrzadka tylko spotyka się nazwisko polskie. Zdawało by się, że obowiązuje w tej dziedzinie *numerus clausus* na Polaków.

Gdy zaś, po przyjeździe do Paryża uda się Polak do polskiego konsulatu, by tam zameldować swoje przybycie, już zdaleka zauważy na ulicy tłumek pod bramą. Tłumek jakoś nieprzyjemnie hałaśliwy i niespokojny. Brama zamknięta. W pewnej chwili otwiera się, by wypuścić kogoś, kto wychodzi. Cała hurma czekających rzuca się do uchylonej bramy. Zamieszanie, podniesione głosy bełkocą gardłowemi tony. Aż nagle z bramy wychyla się woźny i pięściami roztrąca tłum, odrzuca od bramy, zatrzaskuje ją z hałasem. Widz, patrzący zdaleka na tę scenę, ma nieprzyjemne uczucia. To w tak brutalny sposób zostanę powitany w swoim domu na obczyźnie? Ale nie. Polak prawdziwy witany tam jest z oznakami radości, że oto nareszcie choć jeden. A gdy się zbliska przyjrzeć bezczelnemu nachalstwu zebranych przed bramą „obywateli", trudno się dziwić, że pięści woźnego muszą zaprowadzać porządek. Zamachy tej pięści to jak zamachy rąk człowieka, którego obsiadły muchy, i który cierpi przez chwilę łaskotanie ich łapek, ale wreszcie ze złością poczyna się opędzać — dajcież mi spokój, u licha, dajcież mi w spokoju wykonywać to, co zamierzyłem. Zdaje się, że istotne podłoże antysemityzmu to nie jest „zoologiczna nienawiść rasowa", ale właśnie poczucie potrzeby spokoju dla załatwiania własnych spraw żywotnych.

Gesty gwałtowne wywołane są przez uczucia podobne do tych, jakie żywi człowiek opędzający się od much. Można się w nich dopatrzyć, prócz obrzydzenia, także znamion poczucia odpowiedzialności za własne życie, własne sprawy, które, jeśli mają być rozwiązane właściwie, muszą być

przetrawione w samotności. Nie nienawiść, ale potrzeba samotności, zamknięcia się w sobie, jest podłożem istotnym antysemityzmu. Nienawiść, jeśli jest, jest objawem wtórnym. A uczą jej sami żydzi.

Francja odczuwa dziś potrzebę zamknięcia się w sobie, czuje bowiem, że wielkie zadania stoją przed nią do rozwiązania. Żąda usunięcia cudzoziemców. Żądanie to wynika z poczucia odpowiedzialności za ten wielki i piękny twór, powierzony pokoleniom dzisiejszym przez pokolenia poprzednie — za Francję. Francja! Jest to tak wiele, że żaden wysiłek wewnętrzny poszczególnego Francuza nie będzie nigdy zbyt wielki na to, by sprostać zadaniu. „Pracujmy w duchu pokory — mówił na otwarciu roku w Sorbonie rektor tej prastarej, dostojnej uczelni — ale oby z pokory poszczególnych pracowników powstała wspólna *orgueil necessaire de la Patrie*". Ta duma musi żądać, by Francja była Francją. Duch narodowy wieje od Francji mimo wszelkich pozorów przeciwnych.

Jeśli w rozważaniach niniejszych mowa jest o duchu narodowym i antysemityzmie zarazem, to nie dlatego, by antysemityzm był fundamentem nacjonalizmu. Nic podobnego. Nacjonalizm nie jest programem partyjnym, w którym mogły by grać rolę t. zw. „koniki". To światopogląd. Gdzie duch narodowy wieje ożywczo, tam występuje potrzeba zamknięcia się w sobie, wydobycia z siebie tego, co jest indywidualne, odrębne, szczególne — potrzeba samookreślenia się w twórczości, konieczny jest do tego wysiłek, a potrzeba też samotności. Antysemityzm występuje tu tedy jako produkt uboczny.

Paryż JAN GRALEWSKI

GENEZA LIGI NARODÓW

NIE tak to dawne jeszcze czasy, a jednak jakże już odległe w wirze wypadków politycznych, gdy w polityce międzynarodowej panowała wszechwładnie genewska blaga, gdy rzeczywiście ktoś się z nią jeszcze cośkolwiek liczył. Dziś już żaden człowiek realny w siłę i znaczenie Ligi nie wierzy i dziwnem jest, że jeszcze utrzymuje się w Genewie kosztowne delegacje, które poza pustem wymienianiem frazesów nic więcej nie robią i robić nie mogą. Choć jest to przedmiot już prawie że zupełnie martwy, jednak nie od rzeczy będzie przyjrzeć się jej genezie, zwłaszcza, że okres końca wojny światowej i kongresu paryskiego państw sprzymierzonych i głównych neutralnych jest obecnie bardzo modnem zagadnieniem. Poświęćmy więc i my trochę czasu tej sprawie i wspomnijmy te niezbyt odległe czasy, wszechwładztwa Genewy.

Wywołana w celach zaprowadzenia masońskich rządów w świecie, wojna światowa została zakończona. Dość dziwnie i wbrew wszelkim prawom wojennym, gdyż zwycięska Francja miała zniszczoną całą północną połać kraju, natomiast zwyciężone Niemcy nie widziały wcale nieprzyjaciela na swem własnem terytorium. Zamiast zabezpieczyć się na dłuższy czas przed wojną i znaleźć jakiś hamulec na imperializm niemiecki, zadowolono się tylko obaleniem monarchii, ględzeniem o „świętej" woli ludu niemieckiego, i uwierzono w nienaruszalną moc Genewy, która miała zaprowadzić wieczny pokój na ziemi pod patronatem Ligi Narodów.

Idea utworzenia własnego nadrządu jest u masonów już dosyć dawna. Po nieudanych próbach realizacji jej w Hadze (1899 do 1907 r.), wierzono, że uda się ją osiągnąć przez wojnę światową, mającą rozpocząć nowy szereg rewolucyj w świecie i doprowadzić do ostatecznego triumfu masonerii. Od 1916 r. Ligi Praw Człowieka, już istniejące lub dopiero powstające, zaczęły prowadzić ostrą agitację za pokojem za wszelką cenę i bez aneksji i za utworzeniem Ligi Narodów. I tak we Francji działała *„Là Ligue du droit de l'homme"*, która wydawała memoriały i od 1916 r. prowadziła agitację za pokojem i Ligą. W Anglii *„Britisch League of Nations Society i Bryce Committée"*, założone w marcu i lipcu 1915 r., pomagały *„Britisch Fabian Society"*, tajnej grupie, której członkowie walczyli w partii pracy i towarzystwie teozoficznem. Stany Zjednoczone (w maju 1915 r.) założyły *„League to enforce Peace"* i *„League of free Nations Society"*. Niemcy nawet utworzyli ligi: *„Bund Neues Vaterlad"* i *„Frieden Gesellschaft"* [1]). Każda z tych grup agitowała wśród polityków własnych i zagranicznych.

Założona przez Teodora Marburg'a i pozostająca pod kierownictwem Tafta, *„La League to enforce Peace"*, utworzyła program, w którym głosiła, że: „Wszelkie spory międzynarodowe o charakterze politycznym lub prawnym winny być poddane czyto radzie zgody, czyto trybunałowi międzynarodowemu, aby doszło do dobrowolnej zgody, lub zapadł wyrok. Państwa podpisujące winny zobowiązać się do narzucenia siłą poszanowania poprzednich zobowiązań każdemu państwu traktat podpisującemu.

Państwa podpisujące winny ustalić reguły prawa międzynarodowego, według których by miał sądzić trybunał międzynarodowy".

W 1916 i 1917 r. pewna liczba osób oficjalnych zgłosiła akces do tego programu. Byli nimi: w Anglii lord Grey, Asquith i Balfour; we Francji: Briand; w Niemczech kanclerz Bethmann-Holweg; w Japonii min. spraw zagranicznych hr. Monono.

Program ten był publicznie opracowany przez prezydenta Roosevelta. Bryan i Taft urządzili parę przeciwnych zebrań i sprawa spaliła na panewce. Prezydent Wilson 1.II 1916 r. przystąpił do tego programu i w dwa lata później najwyższa rada Washingtonu, pozwalając wydrukować w *„The New Age"* manifest o traktacie pokojowym, pokazała jak wielką wagę przywiązywała masoneria do tego programu *„Leage to enforce Peace"*.

Tymczasem memoriały praw człowieka wywołały wielką kampanię. Pierwszego maja V. Basch dał długi artykuł o początkach wojny, wysuwał

[1]) *René Spitz: La formation du pacte de la Societe de Nations, les sources et les influences str. 5.*

sprawę arbitrażu międzynarodowego i rozbrojenia oraz, opierając się na tezach Karola Gida, głosił, iż aljanci prowadzą wojnę dla wojny. Aby być sprawiedliwym trzeba zaznaczyć, że było paru ludzi na lewicy, którzy się propagandzie opierali; jeden z nich mówił nawet o opanowaniu lewego brzegu Renu, na co Karol Gide usiłował mu udowodnić, że jest niedorzeczny, mówiąc o aneksji, gdy część kraju jest okupowana.

W kwietniu 1916 r. musiała się odbyć w Paryżu konferencja do przygotowania między sprzymierzonemi potęgami ententy ekonomicznej, która utrzymałaby się i po wojnie. Ligi praw człowieka postanowiły skorzystać z okazji ekonomicznej i postarały się, aby konferencja dorzuciła „do ententy ekonomicznej... traktat arbitrażu, któryby obowiązywał podczas pokoju unię mocarstw sprzymierzonych i w swym gronie zaprowadził panowanie prawa międzynarodowego". Doroczny kongres Ligi pozwolił Gabrielowi Séaille zwrócić się w październiku z raportem do komitetu centralnego i sprecyzować idee dotychczas rostropnie przemilczane.

„Pokój wieczny może być oparty tylko na ograniczeniu suwerenności podstaw i instytucyj prawa międzynarodowego. To prawo międzynarodowe siłą wymusi dla siebie respekt i zapobiegnie pogwałceniom".

Ten komitet centralny jeszcze w styczniu 1917 r. zapowiadał, że niedługo ukaże się Liga Narodów, która jedynie może zapewnić wieczny pokój.

Po dłuższej propagandzie, gdy sprawa zdawała się już być dojrzałą 28, 29 i 30 VI, w trzy miesiące po ukazaniu się deklaracji Ribota w senacie, zebrał się przy ulicy Cadet uroczysty kongres obrządków masonerii łacińskiej. Zjechały się nań wielkie wschody, wielkie loże, najwyższe rady Francji, Belgii, Italii, Hiszpanii, Argentyny i Rio grande du Sud. Zaraz pierwszego dnia br.: Andrzej Lebey i Corneau przygotowali zebranych dyskusjami do wielkiego zadania, które ich czekało. Słowa br.: Lebeya pozostały sławnemi w w rocznikach masońskich: „Francja mówił niech idzie dalej do zgniecenia militaryzmu. Ona nie zatrzyma się w swem apostolstwie. Ona upomina się o Ligę Narodów, a ta ostatnia staje się celem wojny, przedmową traktatu pokojowego. Cały świat czuje, że pokój będący tylko instrumentem dyplomatycznym, byłby niekompletnym i że winien on być pierwszym zwiastunem w dziele Ligi Narodów. To jest odpowiedź otwarta, to jest przypomnienie, aby przygotować pokój najbardziej słuszny, najbardziej trwały ze wszystkich i pominięcie tej jedynej okazji, która nadarza się do najracjonalniejszej przebudowy świata byłoby prawdziwem szaleństwem. Bądźmy godni tradycji naszego kraju. W 1789 r. ogłosił on prawo człowieka. Później — przypomnijmy sobie wszystkie walki prowadzone w imię narodowości, którą krótkowzroczni politycy ogłosili za umarłą — on ogłosił prawa narodów do wolnego dysponowania samym sobą. On na nowo teraz zaczyna z narosłą mocą, ze śpiewem coraz większego sukcesu".

Później zacytował Lebey frazes Renana:

„Czyż nie może się utworzyć nareszcie liga ludzi dobrej woli, wszystkich klas, wszystkich języków, wszystkich narodów, którzyby umieli stworzyć i zachować wśród tych gorących walk empirejskie niebo idei, gdzieby nie było ani barbarzyńców, ani Germanów, ani Latynów!"

Na zakończenie kongres powziął uchwałę, którą warto zapamiętać:

Art. II. „Stwierdzając, że ludzkość jest wielką rodziną, z której należy wykluczyć tylko tych, co gwałcą jej prawa, ludzie jak i narody winne są posłuszeństwo prawom narodowym i międzynarodowym, które pochodzą z władzy zorganizowanej konstytucyjnie."

Art. IV. „Jedność, autonomia i niezależność każdej narodowości są nienaruszalne".

A dalej w tym samym artykule: „Naród który nie jest wolnym, t. j. który nie posiada instytucyj demokratycznych i liberalnych, nieodzownych do swego rozwoju, nie tworzy narodu".

Art. VI. Nadrząd:

„Międzynarodowa władza prawodawcza wykonuje się przez parlament. Każde państwo, niezależnie od wielkości obszaru, posyła nań 7 reprezentantów. Decyzje zapadają większością głosów...

Pierwszym obowiązkiem tego parlamentu będzie zredagowanie tablicy praw narodów, karty określającej ich prawa i obowiązki, podobnie jak konstytuanta z 1789 r. zredagowała deklaracje praw człowieka".

Delegat Italii br.: Merni rozwijał dalej te zasady. Głosił zniknięcie władzy jednostkowej, która według lóż jest despotyczna. „Nie możemy pozwolić, aby ważne decyzje, zobowiązujące politykę zagraniczną narodu były postanawiane przez ustawiczną i nieodpowiedzialną władzę wykonawczą, opartą na tajnem uznaniu zawodowych dyplomatów, którzy uważają się tylko za osobistych reprezentantów ich zwierzchników.

Wyjąwszy okoliczności absolutnie wyjątkowe, które nie przeczą regule, sekret, który otacza stosunki dyplomatyczne i traktaty przymierza jest nie tylko niekorzystny, ale nawet zgubny i nieuzasadniony".

Po przypomnieniu niedoskonałych prób br.: Bourgeois utworzenia trybunału w Hadze, br.: Merni ogłasza, że na przyszłość spory międzynarodowe winny być poddane głosowaniu powszechnemu.

„My jesteśmy mocno przekonani, że postęp cywilizacji zależeć będzie na przyszłość od poszanowania powszechnego świętości umów lub uroczystych paktów między narodami i rozwoju, przez wspólną zgodę, prawa międzynarodowego".

Traktat wersalski zatwierdził pewną liczbę propozycji tego kongresu masońskiego, stąd też wypływa, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei, a nieżyciowa Liga narodów poszła już dzisiaj do lamusa.

ZYGMUNT ZBARASKI

„MYŚL NARODOWA" jest wydawana kosztem prenumeratorów, prosimy więc Ich o nieodkładanie wpłaty, a zarazem aby propagowali pismo w kołach znajomych i przysyłali adresy tych osób, któreby mogły „MYŚL NARODOWĄ" zaprenumerować.

JAK Z ROGU AMALTEI...

ADOLF NOWACZYŃSKI sypie książkami, a w nich słowami (ostatnią książkę swoją zatytułował: „Słowa, słowa, słowa"), różnej treści i maści—prawdziwie jak z rogu obfitości.

Zajęty codziennie zagadnieniami aktualnemi, wolniejsze chwile od spraw związanych z życiem bieżącem, poświęca rzeczom, w których się lubuje oddawna, mianowicie wskrzeszaniu przeszłości oraz wyrywaniu z otchłani zapomnienia ludzi niesłusznie w niej pokutujących i zaniedbanych przez współczesność, „pokrzywdzonych i poniżonych".

Tego rodzaju licznym Wielkopolanom np. poświęcił niedawno swoją „Wartę nad Wartą", a dowiaduję się, iż wkrótce ma wydać książkę: „Poznaj Poznań".

W świeżym tomie „Słowa, słowa, słowa" (str. 387) sypią się one rzęsiście na wielu zapomnianych i niedocenionych, ale także i na wysoko postawionych, których „blaski" same wciąż ukazywano wielbiącemu ich światu, „nędze" natomiast starannie zakrywano i zacierano zdawkowym frazesem.

Lekko, rzekłbyś: płatki kwiecia barwnego, spadają „słowa" dobrotliwe na głowy zapomnianych i niedocenionych, ale zato ogniem huraganowym karabinu maszynowego zieją często w stronę wywyższonych, i w tych również, co ich „nędzę" zakrywają.

Dużo o tem wszystkiem dałoby się powiedzieć, gdyż miotacz „słów prędkich" jest nieubłagany, nie wdając się wszakże zbytnio w szczegóły, zwracam głównie uwagę na trzy świetne—bez komplementów — szkice czy esseje, poświęcone Henrykowi Rzewuskiemu, Mickiewiczowi i Conrad'owi—Korzeniowskiemu, w których światły czytelnik znajdzie niemało rzeczy nowych oraz poglądów oryginalnych, fachowiec zaś niejeden, z ich przyczyny, może się znaleźć w dość kłopotliwej sytuacji.

W szkicu „Brat pani Balzakowej" autor gromi i zawstydza historyków literatury za to, że dotychczas „nie dotarli" — jak się wyraża —do H. Rzewuskiego, o którym mają „dziedzicznie blade pojęcie", jako o „zamierzchłym, staroświeckim, przeciętnym prozaiku". Tymczasem tak zlekceważony przez nich twórca „Pamiątek Soplicy" jest pisarzem, co wywarł olbrzymi wpływ na umysłowość naszej „Trójcy" romantycznej i wogóle na piśmiennictwo polskie między latami 1830 — 1860 roku.

Przyznać to wszystko w całej rozciągłości H. Rzewuskiemu i uznać w nim jednego z najtęższych umysłów polskich, wzbraniali się uczeni nasi, powodowani — jak utrzymuje Nowaczyński— niechęcią do niego, jako, w ich przekonaniu, zapamiętałego „wstecznika" oraz również upartego „moskalofila". Nowaczyński natomiast, w owem „wstecznictwie" jak i w „moskalofilstwie" autora „Pamiętnika Michałowskiego", „Mieszanin obyczajowych" i t. p. pism, którymi prowokował i ośmieszał ówczesnę liberalizujące i demokratyzujące sfery ogółu polskiego, upatruje jego wyjątkowość i oryginalność, polegającą na tem, iż zawsze programowo był przeciw przeciętności oraz naprzekór wszystkim.

„Cała działalność H. Rzewuskiego i literacka, i polityczna, i publicystyczna — powiada — miała miejsce stale pod hasłem: przeciw prądowi, przeciw wszystkim, na udry, naprzekór".

„Moskalofilstwo" Rzewuskiego było osobliwe, gdyż ten apostoł ugodowości względem „Moskali" najwięcej i najczęściej tępił ostrze swego sarkazmu właśnie na nich. „Wstecznictwo" jego niemniej było niezwykłe.

Jako apologeta staroświeckiej Polski szedł Rzewuski przeciw wszystkim doktrynom demokracji i wskazaniom Emigracji, przeciw Lelewelom i Mochnackim oraz ich duchowej progeniturze. Co tamci potępiali, on fanatycznie rehabilitował. Jednak w tej przekorności programowej było coś pozytywniejszego, mianowicie zwalczanie „czerwonego widma", i tej zarazy duchowej, jaka szerzyła się w umysłach społeczeństwa naszego, pod wpływem „nieśmiertelnych zasad" Rewolucji Francuskiej.

W swoim czasie Rzewuski — zresztą nie on jeden, ale on najbezwzględniej — reagował na to z tych samych przyczyn i obaw, z jakich dzisiaj reagują ci liczni myśliciele, publicyści i politycy, poddający surowej krytyce ideologię demokratyczną oraz jej zastosowania w życiu państwowem, społecznem i duchowem; co rozpraszają złudzenia i legendy liberalizmu i demokracji, wykazując nadto, iż to raczej ich wyznawcy są „wstecznikami", zwolennikami formuł bezżyciowych, przeżytych.

W takich i t. p. uwagach Nowaczyńskiego jest sporo słuszności, nie można jednak dziwić się, już nie mówię, ówczesnej liberalizującej inteligencji polskiej, co gorszyła się „reakcjonizmem" Rzewuskiego,—ale historykom literatury, którzy surowo oceniali jego poglądy polityczne i społeczne, gdyż do niedawna jeszcze ideom i hasłom, zwalczanym namiętnie przez Rzewuskiego, hołdowała znaczna część inteligencji, a wśród niej i historycy literatury, piszący o autorze „Mieszanin" Jakże mogli wówczas sądzić inaczej? Dzisiaj, to co innego.

Co zaś do „moskalofilstwa" Rzewuskiego, to jego objawy mogły dawać nieraz sposobność do większych jeszcze nieporozumień, zgorszeń i oburzeń.

Jak mógł być wyrozumiałym na „ugodowość" Rzewuskiego normalny Polak, gdy dochodziło do niego, iż mówił on o sobie: „Jestem Rosjaninem z poczucia honoru i obowiązku" (w korespondencji z siostrą Karoliną). Wprawdzie nazajutrz mógł wyznawać: „Jestem Polakiem przez urodzenie, język, uczucia i przyzwyczajenia, ale idee i polityka Polaków dzisiejszych tak są dziwne, że czuję się wśród nich obcy"—(tamże) ale miał już opinię tak nastrojoną przeciw sobie, że tylko w jaskrawych i prowokujących jego wypowiedziach, widziano całą prawdę jego istoty. Któżby tam znowu z ówczesnego ogółu zastanawiał się nad nim, jak dzisiaj autor „Słów", jak nad jakąś „problematyczną naturą" i składał na jej karb jego, zbijającą ludzi z tropu, przekorność. Dzisiaj to

łatwiej, ale trzeba jednak uznać, iż przekora szła zadaleko, że na udry nie zawsze godzi się iść, byle iść, bo mnie się tak podoba; trzeba się zgodzić na to, że w klawiaturze duchowej tej „problematycznej natury” niektóre klawisze nieodzywały się wcale, a inne odzywały się zbyt zgrzytliwie.

Nowaczyński zwala winę za wrogi stosunek do osoby Rzewuskiego na ówczesny ogół polski, zwłaszcza warszawski, ale i Rzewuski nie jest bez winy, gdyż swoimi sprzecznościami, paradoksami i przekorami, wytwarzał w pojęciach ludzi o sobie istny „*galimatias*”.

Rzadko kto w tem się orientował (ze współczesnych może jeden Julian Bartoszewicz, co twierdził, iż „rozgniewawszy naród paradoksami dał mu czas do zastanowienia się nad sobą i myślenia o poprawie”)—i ogół szedł za sądem łatwiejszym, potępiającym bezapelacyjnie. Wprawdzie żółć może się przewracać, gdy dzisiaj swojskie „marany” mienią H. Rzewuskiego: „renegatem”, „zdrajcą“, „wiernym poddanym cara” i t. d. bo to ich nic nie kosztuje—że jednak bardziej powołani do sądzenia go im sekundują to już jest przekleństwem naszych stosunków: przecież wcale nie „problematyczne natury” spotykały się wciąż u nas z podobną oceną...

Od „genialnego narratora i gawędziarza” — Rzewuskiego—przechodzi Nowaczyński w studium „Adam i Konstancja” do „Kowieńskiego farmazona i wolterianina”—Mickiewicza, — który mu zawdzięcza między innemi pierwsze sugestje i inspiracje religijne, katolickie, rzymskie.

Zarzucając Mickiewiczowi niewzięcie udziału w walce o niepodległość narodu (1830—31 r.) autor stawia tę kwestię w następujący sposób: „jak byłaby się potoczyła—zapytuje — wojna z najazdem i okupacją rosyjską w r. 1831: gdyby Mickiewicz (już wtedy „wieszczem” nazywany) spełnił wówczas swój normalny obowiązek obywatelski i zgłosił akces do wojny, jak w Niemczech Kleist czy Koerner, w Węgrzech Petöfi? Czy przykładem swoim podziałałby na resztę ociągającej się młodzieży? Czy autorytet autora „Wallenroda” i „Grażyny” mógł był wpłynąć na uzgodnienie wśród wodzów i na wytrzebienie wśród nich sceptycyzmu i hamletiasis? Czy Mickiewicz swojemi odezwami (Odami?) nie byłby porwał malkontentów, a wpływem swych sugestyj demokratycznych czy nie zdołałby, obok „Konrada” postawić zmobilizowanego „Chama” i w ten sposób przyczynić się do ewentualnego zwycięstwa?”

Na powyższe palące pytania odpowiedział autor pozytywnie przed ich postawieniem. „W krytycznym tedy momencie historycznym — mówi przed tem—jego (Mickiewicza) akces do sprawy ogółowej mógł porwać za sobą całą młodzież i mógł dynamikę tej sprawy spotęgować do zenitu.„ Nasz poeta miał wszystkie atuty w ręku i na sercach młodzieży mógł grać, jak na harmoniki kręgach, etc., etc.

Otóż o tem wszystkiem można bardzo wątpić. Młodzież, ta co miała pójść, poszła bez wpływu na nią Mickiewicza, poprowadzona przez Lacha Szyrmę, księdza Logę, spiskowców i t. p. Wojsko, w czasie wojny, zostało niemal potrojone liczebnie, a nie składało się przecie z samych „Konradów”, lecz głównie z „Chamów”.

Wątpić można również, znając ówczesne stosunki oraz ludzi, czy „ody” wpłynęłyby na uzgodnienie wodzów, i wogóle czy autorytet „wieszcza” mógłby spotęgować wysiłek narodu do zenitu. Zresztą to wszystko, dzisiaj, nie dałoby się rozstrzygnąć w sensie dodatnim bądź ujemnym, z tej prostej przyczyny, że Mickiewicz udziału w wojnie nie wziął. Są jednak w tej sprawie momenty, o których można wyrokować, bez większego wahania oraz wątpliwości, i na nie Nowaczyński kładzie szczególny nacisk.

Chodzi tu o fakt, że Mickiewicz, podążający z Rzymu do Polski z zamiarem połączenia się z walczącymi o jej wolność, nie dotarł do nich, granicy, choć mógł, nie przekroczył, lecz ustrzągł w Poznańskiem z przyczyny nowych „amorów”.

Tą, co wieszcza usidliła i powstrzymała od wzięcia udziału w walce narodowej, była urodziwa Wielkopolanka: Konstancja z Bojanowskich Łubieńska. Nad tym stosunkiem Adama z Konstancją, ważnym z racji nie przystąpienia poety do powstania, jak również dlatego, iż chodzi tu o osobę, gdy mowa o uczuciach Mickiewicza, najwybitniejszą ze wszystkich innych jego przedmiotów miłości, godną stać obok niego, — nasi historycy literatury przeszli do porządku dziennego, zbyli go lada wzmianką, jako „przelotną fantazję” poety.

Tymczasem, jak to wykazuje autor, była to najdłuższa i najstalsza jego miłość, która przetrwała od 1831 roku niemal aż do samej śmierci.

Oświetlając należycie dzieje tej ostatniej miłości Mickiewicza, kreśli Nowaczyński jednocześnie żywy portret tej, co ją w duszy jego tak długo utrzymywała.

Za przemilczenie i zbagatelizowanie tych dziejów, zwłaszcza gdy się miało do dyspozycji ich przebieg, ich psychologię, w wydanej korespondencji kochanków, autor pociąga mocno do odpowiedzialności naszych polonistów. Nie wszyscy jednak— jak mi się zdaje — jednakowo tu zawinili. Najmniej chyba ci, co pisali o Mickiewiczu w okresie przed odzyskaniem niepodległości Polski, gdyż mogli się kierować względami, iż pisać całą prawdę o tem, że wieszcza narodowego przykuła do siebie Dalila wielkopolska, wówczas kiedy lała się krew bratnia, byłoby to wystawiać — i jego i naród — na urągowisko wrogów. Poloniści natomiast ostatnich czasów, już dzisiaj, z tego rodzaju okoliczności łagodzących, korzystać nie mogą.

Posypały się więc na nich, z bardzo zasobnego kołczana autora, niezwykle dotkliwe strzały. Cierpko odzywa się on nadto wogóle o „amorach” Mickiewicza, drwiąc przytem niemiłosiernie z „gąsek romantycznych”, w których się kochał przed spotkaniem Konstancji. Biedne „gąski” wprawdzie nie dorastają do poziomu duchowego poetów i nie mogą podążyć za ich górnym lotem, ale co to ma nas tak bardzo gniewać, że mają szczęście do wieszczów? Czy to ich wina, że oni je nskrzydlają i zamieniają w nieziemskie istoty? Niema w tem tak samo, biedy, że co wielki poeta (a i pomniejszy) — to „nieuleczalny kobieciarz”. Przecież prawie wszyscy wielcy byli pod tym względem „nieuleczalnymi”, i bez tego ich defektu, mniej byłoby wielkiej poezji. Defektem tym odznaczali się: Dante i Petrarka, i Ronsard, i Goethe, i Byron, W. Hugo, Musset, Balzac i t.d., wreszcie Krasiński i Mickiewicz.

Jakkolwiek bądź, Mickiewiczowi o wiele słuszniej należało się, na zakończenie, to powiedzenie G. Papiniego o Dantem, jakie Nowaczyński zastosował do H. Rzewuskiego, mianowicie: „Udało mi się pokochać go prawdziwie, ponieważ wiem, że oprócz olbrzyma żył w nim człowiek ze wszystkiemi ludzkiemi słabościami"...

W szkicu o Conradzie - Korzeniowskim czekają na czytelnika znów inne niespodzianki. Między innemi ta mianowicie, iż podług autora nie ulega żadnej wątpliwości, że Conrad był patriotą jednej tylko ojczyzny, i to w całem tego słowa znaczeniu, ale właśnie patriotą angielskim. Przekonywa o tem Nowaczyński analizując, znamienne w tej mierze, wynurzenia Conrada. Duża jest wymowa i waga owych cytat, i niepodobna zaprzeczyć, że Conrad był patriotą angielskim. Niemniej jednak jest prawdą, że mając tego świadomość, Conrad nie zawsze czuł się dobrze w swojem sumieniu, gryzł go taki wyrok losów oraz wypełniał duszę subtelną i niezwalczoną melancholią.

W jego pismach są i na to dowody. Jest tam mowa o „straszliwej naturalizacji" t. j. o procesie zlania się jednostki ludzkiej z obcem społeczeństwem, o tem jak to rozmaite okoliczności wciągają ludzi w głąb obcego życia narodowego, „silniej niżby to mogło uczynić powodzenie i zaszczyty". (Wskazywałem na to pisząc o Conradzie w „Myśli Narodowej" 1936 roku).

Będąc patriotą i pisarzem angielskim, był jednak Conrad, jak słusznie twierdzi autor — Polakiem, i to najrasowszym.

Jak widzimy, z prac literackich Nowaczyńskiego sypią się nietylko nieoczekiwane i derutujące słowa, lecz także jak z rogu Amaltei — wiele znaczące zagadnienia, poglądy i kwestie pobudzające myśl czytelnika do żywszego ruchu; wytrącające go z wygodnej równowagi ducha, ale rozszerzające perspektywy jego widzenia i ostrym blaskiem rozwidniające ciemniejsze strony spraw oraz rzeczy ludzkich.

Słowa te i zagadnienia wylatują z rozmachem niebywałym, z fantazją i pasją — niewyczerpaną, nieumęczoną. Pisane jest to wszystko ogromnym nakładem pracy, zagłębiając się i szperając po różnych szpargałach i księgach zapomnianych, czytanych całemi godzinami po nocach— wielkim wysiłkiem jednego, dzięki miłym rodakom — już tylko oka!

Nie wszystko tu jest bojowe i huraganowe, są też rzeczy łagodniejsze w tonie, w nastroju. Są tu np. dwa śliczne obrazki „rodzajowe" — jak mówiono dawniej — z których wieje ciepło i rzewność, poświęcone pamięci wielkiego artysty Chodowieckiego („Chrząszczyk w Gdańsku") i wdowie po bohaterze Woli, generale Sowińskim. („Laska pani Generałowej"). Ale najpiękniejszy ze wszystkich jest, malowany w zachwyceniu, chociaż z iskrzącym się humorem, obrazek zakątka rodzinnego, gdzie się szuka zawsze siebie samego z lat dziecinnych, o którym wspomina Nowaczyński jako o cudzie, niemającym sobie równych w całym świecie. („Podgórze").

Odsłania się tu jakiś inny Nowaczyński, nie ten, znany dobrze wszystkim, nieubłagany łucznik, lecz niemal cichy i pokornego serca. Może, w gruncie rzeczy, jest takim, tylko nie lubi chodzić utartemi drogami, woli iść naprzełaj, naprzekór, na udry.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

ZWYCIĘSTWO PATRIOTYZMU

(Z OKAZJI XX-LECIA NIEPODLEGŁOŚCI ŁOTWY)

Zbyt mało znamy naszych sąsiadów, z którymi graniczymy o miedzę. Korzystając z przypadającej w listopadzie r. b. 20-tej rocznicy niepodległości Łotwy, przyjrzyjmy się w syntetycznym skrócie temu młodemu państwu.

*

ŁOTWA, jej dobrobyt ekonomiczny, wysoki poziom kulturalny, a zwłaszcza bezprzykładna pracowitość zwracają w ostatnich latach baczną uwagę prasy europejskiej. Naród, który z pozostałych po okupantach zgliszcz potrafił w ciągu paru lat dziesiątków tyle odbudować, przeciwstawiając się ogólnemu kryzysowi i bezrobociu — zaiste zasługuje na bliższe poznanie. Interesuje nas zarówno teraźniejszość, jak przeszłość naszych sąsiadów z za Dźwiny, zwłaszcza że zbliżyło nas do siebie braterstwo broni — wspólna obrona Latgalii przed inwazją bolszewicką.

Pamiętamy ponadto o tem, że Łotwę współczesną dzieli od dawnej krainy Linów olbrzymi i straszliwy w swoim tragizmie okres s i e d m i u w i e k ó w n i e w o l i. Ziemie łotewskie leżą klinem pomiędzy Estonią i Finlandią z jednej strony a — Słowiańszczyzną — z drugiej. Z czterech składających jej dzielnic najbardziej znaną była w dziejach — Kurlandia. Kurowie odznaczali się w średniowieczu energią i przedsiębiorczością; organizowali liczne wyprawy w kierunku Szwecji i Danii byli nawet przez jakiś czas posiadaczami zamorskiej kolonii na wyspie Tobago. Dopiero w wieku XVII-tym, jak pisze ówczesny kronikarz, Gratiani, cztery prowincje łotewskie zlały się w jedną całość a mieszkańcy ich zaczęli używać wspólnej nazwy Łotyszów (Letti). Już wówczas lud łotewski odznaczał się znacznem poczuciem estetycznem. Znaczna liczba ozdób, stanowiących niezbędne uzupełnienie barwnego stroju tego ludu rzeźbiona była w bursztynie. Dawne bursztynowe fetysze ustąpiły z nastaniem chrześcijaństwa miejsce różańcom, figurkom świętych, bądź też bogatym naszyjnikom. Morze, otaczając zachodnią część Łotwy, dawało jej ozdoby z bursztynu, będąc jednocześnie otwartem szeroko oknem na świat. Ziemia natomiast przedstawiająca wielką równinę predestynowała ten kraj do rolnictwa. Życie rodzinne, rolnictwo i hodowla trzody — oto były zainteresowania dawnych Łotyszów. To też r o d z i n a (Sajma) stała się podstawą późniejszego układu społecznego. Pierwszy okres niewoli to hegemonia rycerzy krzyżackich. Z chwilą przybycia krzyżaków w wieku XIII-ym na ziemie łotewskie nastąpił długi okres nieustannych wojen, a w ślad za nim upadek rolnictwa i pauperyzacja. Położenie włościanina było jednem z najbardziej

upokarzających w Europie. Krzyżacy a następnie ich epigoni — baronerla niemiecka—uważali, że chłop łotewski nie dorósł do wolności. Sprzedawano więc rodziny chłopskie z wolnej ręki, rozdzielano niemiłosiernie męża od żony, dzieci od rodziców. Baroneria niemiecka dopuszczała się nadto takich okrucieństw, które nawet obecnie mrożą krew w żyłach. To też nawet caryca Katarzyna II-ga podczas jednej ze swoich podróży po Liwonii była uderzona nieludzkiemi metodami, które stosowali jawnie właściciele ziemscy względem swoich poddanych. Dopiero liberalizm cara Aleksandra i reforma agrarna z r. 1861 sprawiły, że losy włościanina łotewskiego uległy znacznemu polepszeniu. Mocne przywiązanie do roli sprawiło, że pierwszym skutkiem uwłaszczenia chłopów było gorączkowe nabywanie gruntu — pierwsza komórka późniejszej gospodarki chłopskiej. Wiedząc o tem, rozumie się dlaczego reforma rolna z roku 1920-go była dla Łotwy koniecznością *sine qua non.* Zmieniła ona z gruntu dotychczasowe oblicze kraju, tworząc sieć dwudziestokilkuhektarowych „kolonij“, czyli osad włościańskich, a więc odrębny rodzaj wsi. Pomimo siedmiu stuleci panowania zaborców: Krzyżactwa, Szwedów i caratu rosyjskiego lud łotewski nie zatracił ani języka, ani odrębności narodowej. Ruch niepodległościowy w ściślejszem znaczeniu rozpoczął się od połowy ubiegłego stulecia.

Łotwa nie była odosobnioną, gdyż analogiczne poczynania stwierdzono równocześnie w Estonii i Litwie. Zjawiskiem godnem uwagi jest wspólność dążeń wolnościowych na wsi i w miastach. Jedno z najstarszych czasopism łotewskich, „Baltijas Weestnesis” domaga się w r. 1876 od władz rosyjskich języka łotewskiego w szkolnictwie. W tym samym czasie Kriszjan Barons rozpoczyna zbieranie folkloru w postaci pieśni („dajn”) i legend, których Łotysze posiadają więcej, niż sąsiednie narody nadbałtyckie. Powstają pisma, zazwyczaj konspiracyjne, budzące ducha narodowego. Docierają one różnemi nielegalnemi drogami do najdalszych osiedli kraju. W tej atmosferze nadchodzi okres 1880 — 1890. Socjaldemokracja rosyjska obiera Łotwę, jako teren dla spraw konspiracyjnych. Tworzą się kółka polityczne, samokształcenia, „latające” biblioteki. Wreszcie nadchodzi rok 1905, zapisany krwawo w dziejach Łotwy. Pamiętne są po dzień dzisiejszy „ekspedycje karne” Korffów na czele baronerii, potoki krwi zalewają Kurlandję. Wreszcie ostatnia próba—180 tysięcy żołnierzy łotewskich, powołanych pod broń w roku wielkiej wojny. Ale Łotwa posiada już grupy ludzi, rozumiejących, że nadchodzi godzina wyzwolenia. Czakste, Zemgals, a zwłaszcza Karol Ulmanis (obecny prezydent Łotwy) czuwają, aby przez tą ostatnią ofiarę krwi mogło odrodzić się niepodległe państwo. Na gruzach caratu powstaje armia ochotnicza, która zwolna, z łotewską wytrwałością kruszy opór najeźdźców. Uchodzą okupanci niemieccy, awanturnicze oddziały Bermondta. Wstające słońce wolności łotewskiej odbija się krwawo w zgliszczach spalonej Rygi... W końcu — niepodległość, tak drogo okupiony dzień 18-go listopada 1918 roku.

*

Jaką była historia Łotwy, takiemi są dajny tego ludu. W tych dajnach znalazły swoje tragiczne odbicie dzieje siedmiu stuleci niewoli politycznej. One to, przechowywane z pokolenia w pokolenie, śpiewane przy pracy na roli i w długie wieczory zimowe krzepiły ducha narodowego, zagrzewały do wytrwania. Kto nie zna tych pieśni, przepojonych bezbrzeżnym smutkiem, ten nigdy nie zrozumie najtajniejszych przeżyć ludu łotewskiego. Nie waham się powiedzieć, że gdyby nie kult dajn, nie byłoby może wolności, a z pewnością nie pojawiłoby się ani piśmiennictwo, ani sztuki piękne. W dajnach, liczba których przekracza d w i e ś c i e t y s i ę c y, odbijają się nie tylko dzieje niewoli Łotyszów, ale i ich dawne wierzenia religijne, ustrój społeczny, tradycje rodzinne. Rzecz osobliwa, bardzo znaczna ich liczba mówi o ś p i e w i e i o s ł o ń c u. Słońce było bóstwem szczególnie umiłowanem w dawnej krainie Liwów.

„Idę w pole, idę w rolę,
bo w roli jest radość moja,
bo tam wstaje boże słońce
i tam zachodzi“...

albo też:

„Wieczorem siada słońce w złotą łódź —
a z rana budzi się w niej i — wstaje”...

Nieustannie odbija się w dajnach kult pieśni:

„Jedna z sióstr moich śpiewa w Cesis [1]),
a druga — w Valmere [2])
Echo łączy ich głosy na granicy Rusi”...

Przepiękne jest porównanie poetyckie:

„Kołysała mnie matka, kołysała
w złotej kołysce słowika“ —

lub:

„Zanieście ciało moje do grobu śpiewając,
bo oddać pragnę duszę bogom w pieśni” —

Z podanych tych nielicznych niestety przekładów dajn łotewskich widzi się, że posiadają one głębię myśli i charakter odmienny od pieśni słowiańskich. Kryje się w tych strofach bądź smutek, bądź refleksja filozoficzna. K u l t p i e ś n i, o którym mówią dajny był to jeden z najdawniejszych przejawów kultury ludu łotewskiego. Widzimy już w ubiegłem stuleciu, o wiele wcześniej, niż tworzenie się konspiracyjnych związków wolnościowych—powstawanie kół śpiewaczych. Pieśń dla Łotysza, to coś więcej niż utwór, składający się z melodii i tekstu. Pieśń posiada tu z n a c z e n i e s p o ł e c z n e. Wszakże w dobie represji rosyjskich jedynie pieśń zdolna była zachować język ojczysty. Koła śpiewacze mnożyły się. Już w siódmym dziesięcioleniu XIX wieku było ich kilkadziesiąt. Na pierwszym walnym Zjeździe Śpiewaczym w roku 1864 stanęło ramię przy ramieniu około tysiąca śpiewaków ze wszystkich czterech dzielnic Łotwy. Bez różnicy wyznania, zamożności i stanowiska społecznego manifestowali oni swoją przynależność narodową. Odtąd— Święta Pieśni, zwane *„Dziesmu Svetki”* powtarzały się co kilka lat, za każdym razem łącząc w sobie coraz więcej uczestników. Dziewiąty festival, odbyty w Rydze w czerwcu roku bieżącego stał się nie tylko uroczystością muzyczną, ale i żywym stwierdzeniem zjednoczenia narodu, dokonanego jak wiadomo przez Ulmanisa przed czterema laty. 18 tysięcy śpiewaków stanowiących blisko 400 chórów w barwnych strojach ludowych z różnych stron Łotwy były czemś niebywałem, nie zapomnianem. Mamże wyliczać w długim szeregu imiona kompozytorów łotewskich i pisarzy, jakich wy-

[1]) i [2]) Miasta łotewskie (przyp. autora).

chowała i natchnęła do twórczości pieśń ludowa? Sądzę, że nie tyle ich nazwiska, mało znane ogółowi polskiemu dadzą obraz kultury łotewskiej, ile idea, przyświecająca od lat stu conajmniej tej twórczości. Tą ideą, spotykaną na każdym kroku w literaturze i sztuce ludu łotewskiego było fanatyczne przywiązanie do ziemi ojczystej, umiłowanie słońca wolności, dla którego, że użyję tu raz jeszcze słów dajny, warto było „oddać bogom duszę w pieśni"... Kultura Łotwy współczesnej poszła — w myśl tych założeń — po linii gloryfikacji uzyskanej pracą tak mozolną niepodległości. Bije z niej duma, radość i bezmiar szczęśliwości, że chwila ta jest dla Łotwy — dniem dzisiejszym. Wznoszą się ze strof poezji Rainisa, czy Poruka symboliczne ręce ku niebu z wyrazem podzięki i z wiarą w zachowanie tego, co zostało odzyskane. Te same ręce, które można podziwiać w centrum dzisiejszej Rygi u stóp monumentalnego pomnika Wolności. Na jego szczycie przedziwnie biała postać westalki łotewskiej trzyma, wysoko wzniesione nad miastem Trzy Gwiazdy — symbol odrodzonego państwa łotewskiego, i — zwycięstwa patriotyzmu.

W—b.

POLAŁY SIĘ ŁZY ME CZYSTE

NAŚLADOWANIA I PARODIE

Wszyscy nasi poeci czytali wiersz Mickiewicza „Polały się łzy me czyste, rzęsiste". Jednak ta forma żalu za minioną młodością nie odpowiada ich nowoczesnemu gustowi. To też wzięli ten sam zasadniczy temat, wzbogacili go osobistemi przeżyciami i opracowali wedle zdobyczy nowoczesnej techniki poetyckiej.

Czytelnik ma więc okazję stwierdzić, jakie postępy poczyniła poezja od czasów trzech wieszczów.

K. I. Gałczyński

NAGRODA MŁODYCH

Bibrowski za mną ciągle chodził
i w Wilnie i w Aninie
bo wiesz, że najpierw było Wilno
i byłaś Ty...
a potem nieraz czort mnie wodził
między warszawskie świnie —
i znów Horacjusz, jak maj wschodził
i na pieniądze z „Prosto z Mostu"
kapały pierwsze łzy.

Może słyszałeś moje brawo
do Inge Bartsch: niech żyje brzuch!
O Horacjuszu! O zabawo!
Gorzałkę piliśmy za dwóch.

Później był wieczór. 500 złotych
piechotą dziś nie chodzi.
Więc wyciągnąłem rękę do tych
czterech studentów z Łodzi,
którzy po pół złocisza dali
na fundusz mej nagrody — — —
mogli to przechlać, a nie przechlali
nagrody młodych.

A dziś znów pluję w prawo, w lewo,
czczą śliną bez alkoholu —
za to poezja pijana śpiewa,
tańcząc po pustem polu.
Słowa grają, młócą się, kocą
świątek i piątek tę samą grę;
Bóg się zasłonił bezsenną nocą,
gwiazdy wypięły się jak... świeczki,
a ja wołam: kupcie bubliczki
i poudre pour limpimpim!

Kazimiera Alberti

O DOBREJ I ZŁEJ ŁZIE CZŁOWIEKA

Zła jest łza, która robi kleksy na zeszycie,
spływa brudem po nosie w dzieciństwie anielskiem,
lub kapiąc, może mrówkę obudzić w ukryciu,
albo spłoszyć pajączka, uśpionego w zielsku.

A łza, którą w młodości chusteczką się ściera
i która z męskich, oczu jak deszcz z chmury ścieka
aby zwilżyć dżdżownicę, co się poniewiera —
to dobra łza człowieka.

Jan Bolesław Ożóg

PÓŁ ŻYCIA KLERYKIEM
(z cyklu: „Prymicje autentyzmu")

W ogródku na wakacjach deszcz.
Łzy lśnią na malwach i georginiach.
Panna Zosia mi przypomina
dzieciństwo sielskie, jak wiersz.

Wolnobieżką wjechała mi w usta
i unurzała balony czerwienią mej młodości.
Między płotem a ustępem stoi brzózka,
a brat mój zdrapuje z niej korę paznokciem.

Widzisz Zosiu: skabiozy i astry
zdeptał kot, z burą łatką na karku;
niech ci się przyśni księżyk z miasta
śliczny, jak marchew.

Janusz Kawecki

NIE — BAJKA
(wiersz ten rozpoczyna moich liryk „Poczet Pierwszy")

Miesiąc, luna, czyli księżycek,
ten andrus, bałaguła, ten Wicek,
dworował sobie z mej kuzyneczki,
że jej Adonis nie jest do rzeczki.
I nachachmęcił cnej białogłowie
(jakżebym wrzepił w ryło gudłaja,
jeno że nie lża go lać, albowiem,
chocia on kapuś, zawsze-ć mój krajan).

I wszystkim moim dziewuszkom doniósł
(obsmarował bym rzetelnie szuję,
bowiem w czterdziestu pismach drukuję) —
że ich krzepisty, wartki Adonis
już swój wiek męski — oj, dola-ć, dola-ć,
kruty ne werty — musi łzą polać...
I nawet z muzą już nie da rady,
więc za tureckie wziął się przekłady.

INT

NA WIDOWNI

Jak wyglądał nasz warsztat 40 lat temu? — Współpracownicy i tematy. — Poziom życia umysłowego. — Talenty literackie. — W hołdzie Mickiewiczowi. — Pożegnanie wieku XIX.

PROTOPLASTĄ „Myśli Narodowej”, najbardziej zbliżonym do niej typem w formie i dążności ideowej, był w wieku XIX tygodnik „Głos” (1886 — 1899). Dla pokolenia obecnego interesującą, jak sądzę, lekturą będzie moja notatka niniejsza o tem, co się pisało w „Głosie” czterdzieści lat temu.

Wiele od tego czasu zaszło zmian: widnokrąg polski nie jest już poprzecinany kordonami, istnieje jednak ciągłość życia wewnętrznego, uwydatniająca się szczególnie w dziejach grupy dziedziczącej tradycję „Głosu”.

W owym roku 1898 nic jeszcze nie zapowiadało zmian kursu politycznego, cenzura była dokuczliwa, wyrazu Naród nie można było używać, życie publiczne nie istniało, nawet z samorządu gminy wiejskiej drwiły rządy policyjne, ciągle szukając sposobu, jakby zmienić typ duszy polskiej. Nie pisało się więc w „Głosie” o polskich sprawach politycznych; bogaty dział korespondencyj składał się z dwóch części. Jedne były krajowe — tutaj zamieszczało się wiadomości z Radomia, Ostrołęki, Petersburga, Wilna, Odesy, bo to był jeden kraj. A druga część nosiła tytuł „Zagranica” — tutaj była Argentyna, Kraków, Paryż, Lwów, Berlin, Poznań... Ale czytelnik wiedział, co o tem myśleć, to był przymus. Gorzej bywa publicystyce narodowej w atmosferze zakłamania wewnętrznego opinii, gdy zatarte są granice prawdy.

Związek z owym odległym rokiem najlepiej określą nazwiska, żyją bowiem ci i owi, którzy w „Głosie” pisywali lub są jeszcze w świeżej pamięci. Przejdę więc do rubryk.

W dziale polityczno-społecznym pisywali wtedy najczęściej Bolesław Koskowski, Jan Stecki (pseud. Oskar G., Jan St.), Ludwik Włodek, Józef Hłasko (pseud. Targoński). Z większych prac Koskowskiego wymienię rozprawę w sześciu nr. o samorządzie w gminie wiejskiej. Pisywali też Wł. Studnicki, St. Koszutski (soc.), Zenon Pietkiewicz, Witold Grabowski, Iza Moszczeńska. St. Karpiński (po wojnie prezes Banku Polskiego) przysyłał artykuły z Petersburga. Pisywał też Antoni Sujkowski (późniejszy minister oświecenia) i w.in. Nazwiska te w dziale społecznym świadczą o dużej rozpiętości podstaw „zjednoczenia narodowego“. Był jakiś wspólny mianownik między tymi ludźmi.

W dziale literackim wybitną rolę odgrywał Władysław Jabłonowski. Jego pióra były w tym roczniku szkice literackie o „Podfilipskim“ Weyssenhoffa, o d'Annunziu i powieści włoskiej, o Leopardim, o studiach Ferrero i wiele sprawozdań z literatury bieżącej (Dygasiński, Zapolska, Ochorowicz). Jabłonowski referował, jako członek jury, wyniki konkursu powieściowego „Głosu”. Było to wybitne zdarzenie w ówczesnem życiu literackiem. Grupa ziemian spod Krośniewic złożyła w „Głosie” fundusz na nagrodę za najlepszą powieść, jaką da się osiągnąć w drodze konkursu. Nadesłano 40 powieści; za najlepszą uznano „Dobrane pary” Ludwiki Godlewskiej. Była ona potem w „Głosie” drukowana.

Literatura obsłużona była w naszem piśmie wcale dobrze. Z innych autorów znaleźli się tutaj: Piotr Chmielowski, Włodzimierz Bugiel (Paryż), Antoni Lange, Gabriel Korbut, Wł. Bukowiński, Józefat Nowiński.

Były to jeszcze czasy ożywionego ruchu umysłowego w sferach czytającej inteligencji, bogaty więc był dział naukowo-filozoficzny. Któż tutaj pisywał wtedy? Oto: Erazm Majewski, Jan Karłowicz, Zygm. Balicki (interesujące było jego studium: „Psychologia sekt”), Jan Stecki, Justyn F. Geisler, Marian Massonius, W. L. Kozłowski, Edward Strumpf, Kaz. Wróblewski (pseud. Sierpniak) ze Lwowa i inni wymienieni już w dziale literackim.

O sprawach wychowania młodzieży pisali: Stan. Karpowicz i Aniela Szycówna. Redaktor „Wisły” i „Słownika języka polskiego” Jan Karłowicz prowadził rubrykę stałą „Błędy językowe”.

Do powyższych nazwisk z działu naukowego dodać należy rozrzucone po innych działach nazwiska Arctowskiego (podróż do bieguna), Zofii Daszyńskiej, Kazimierza Krauza, Jana Lorentowicza, Tomasza Siemiradzkiego (listy z Ameryki), Alfonsa Parczewskiego i Melanii Parczewskiej (z Kalisza).

Czytelnicy domagali się też książek naukowych. „Głos” dodawał premium kwartalne w postaci dzieł takich, jak: Hobson „Rozwój kapitalizmu współczesnego”, Spencer „Instytucje zawodowe”. Dzieła powyższe przełożył Jan Stecki. W tym że czasie wyszły dwutomowe dzieła: Taylor'a „Cywilizacja pierwotna” z przypisami J. Karłowicza, Seignobosa „Dzieje polityczne Europy Współczesnej”, Jana Witorta „Zarysy prawa pierwotnego”.

Świat sztuk pięknych nie bardzo swoją intensywnością narzucał się zainteresowaniom ówczesnej Warszawy. Więc i krytyka, prócz teatralnej, słabo była reprezentowana w prasie. O muzyce np. nie było komu pisać w młodszem pokoleniu. W „Głosie” z tego zakresu pisał Antoni Sygietyński parę artykułów („Kapelmistrz doskonały“), o teatrze pisywali chętnie wszyscy: Massonius, Jabłonowski, Bukowiński, niżej podpisany. Chlubą naszą był Tadeusz Jaroszyński jako krytyk sztuk plastycznych. Wiele w „Głosie” tego roku znajdziemy jego artykułów. Mam w rękopisie obszerniejszy jego zarys dziejów nowego malarstwa polskiego, dotąd niedrukowany. Pisywał też krytyki teatralne, potem przeszedł na pole powieściopisarstwa. Zmarł przedwcześnie.

Bardziej interesuje pewno ludzi dzisiejszych, jak się przedstawiał na powyższem tle świat twórców literackich. W r. 1898 „Głos” gościł u siebie poetów następujących: Jan Kasprowicz nadesłał do nr. 1 poemat „Nad przepaściami”. Zamieścili potem po parę utworów: Kazimierz Gliński, Włodz. Perzyński, Bol. Leśmian, Wacław Wolski, Zdzisław Dębicki, Adam M-ski (Trzeszczkowska), Antoni Lange (frag. „Atylla” w 6 zeszytach), Jan Lemański, Stan. Pieńkowski (przekłady z Nietsche'go i Verlaine'a), Marian Tatarkiewicz, F. Szleglówna, J. S. Wierzbicki, St. Nałęcz - Ostrowski.

Ogłaszało się też sporo pięknej prozy. Pisali tutaj. Dygasiński (Pularda), A. Sygietyński (Skałotocz palczak), Gustaw Daniłowski (debiut: nowe-

la „Pociąg"), Wacław Sieroszewski („Grecka Szczelina"), W. J. Gryf (pseud. W. Jabłonowskiego), Ostoja (J. Sawicka), Ant. Morzkowska, Alina Świderska, St. Wąsowski, Edward Maliszewski, Orsyd.

Był to rok Mickiewiczowski. W ciągu stu lat od urodzin Mickiewicza odbywał się w łonie narodu tajemniczy plebiscyt, aby tego właśnie wielkiego poetę wznieść na wysokość Króla Ducha narodu. Było to potrzebą duszy zbiorowej, znaleźć dla siebie jakieś wiązanie wysokie, aby się czuć jednością pomimo rozdziału. Z tego podłoża duchowego powstała inicjatywa, zamanifestowana pomnikiem w stolicy, że naród istnieje jako całość. Rzucając w „Głosie" inicjatywę tego pomnika, przejęty byłem do głębi poczuciem tak rozumianego symbolu. Władze rosyjskie, acz ze strachem, badając pilnie myśl sfer narodowych, dały sobie wmówić, że chodzi w tej sprawie jedynie o upodobania literackie.

„Głos", wskutek udziału mojego w pracy komitetu budowy pomnika, mocno zaangażowany był w tej sprawie, a może nawet ucierpiała na tem sprawność redakcyjna wydawnictwa, cały rok bowiem praca nad pomnikiem pochłaniała moje siły. W miarę zbliżania się setnej rocznicy urodzin Mickiewicza (24.XII 1798) wzrastało napięcie gry o ten symbol między społeczeństwem a władzami rosyjskiemi, które nastrojem społeczeństwa czuły się bardzo zaniepokojone.

Na łamach „Głosu" zaznaczyła się rocznica szeregiem artykułów. W numerze gwiazdkowym zamieściłem swój szkic literacki „Uwagi o genezie Pana Tadeusza". Utalentowana poetka Maria Komornicka dała artykuł: „Mickiewicz i nowa poezja", przyrodnik Edward Strumpf ofiarował piękne studium „Rośliny w poezjach Mickiewicza". G. Korbut napisał o utworach pośmiertnych Mickiewicza. Do tego dodało się referat „Dzieje pomnika".

W sprawozdaniu tem, bardzo suchem w formie, podaliśmy fakt charakteryzujący nastrój społeczeństwa. Mianowicie: odezwa komitetu wzywająca do składek nosi datę 24.V 1897, odezwa zaś zamykająca składki (na żądanie władz wydana) — 14.VII tegoż roku. Składano więc fundusz tylko 50 dni, a złożono 236.000 rubli (około 1.200 tys. złotych dzisiejszych). Taka była potrzeba manifestacji.

Zatrzymałem się dłużej na motywie mickiewiczowskim, bo właśnie w roku obecnym przypada w dzień wigilijny 140-ta rocznica narodzin poety. Nie ma już potrzeby manifestacji, jest jednak powinność skupienia się w zbiorowem wspomnieniu koło Mickiewicza, który dał nam najgłębsze poczucie jaźni narodowej. Niechby to wyraziło się przynajmniej w złożeniu kwiatów u stóp pomnika warszawskiego. Pod tym pomnikiem 40 lat temu żegnaliśmy się w milczeniu z wiekiem XIX. Prowadził nas tutaj Sienkiewicz, iluminując pomnik swoją światłością.

Wiele w życiu naszem zmieniło się na lepsze, ale nie trzeba lekceważyć przekazów tamtego stulecia. Kierując się tą zasadą, wyciągnąłem dzisiaj „na widownię" obraz „Głosu", aby uprzytomnić ciągłość pracy pokoleń.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

OFENSYWA ROZWIJA SIĘ

Mowa tu o „piatiletce" nie sowieckiej, ale niemieckiej — i nie gospodarczej, ale antyżydowskiej.

Sięgnijmy nieco wstecz. Nie dalej jednak, jak do partyjnego zjazdu w Norymberdze. Tam to ogłoszono plan pięcioletniego likwidowania żydów w Niemczech. Po pięciu latach nie miało być ich tam zupełnie. Żadnego. Ani na lekarstwo.

Tymczasem przyszedł zamach paryski Grynszpana. Grynszpan zastrzelił radcę ambasady niemieckiej w Paryżu. W odwet Goebbels zapowiedział przyśpieszenie „piatiletki". Ostateczny termin likwidacji mienia żydowskiego oraz ludności żydowskiego pochodzenia upływa z wiosną 1939 roku, czyli zamiast lat pięciu, pięć miesięcy. Tymczasem nakłada się kontrybucje, pali Synagogi i niszczy sklepy. I tymczasem ma się wprowadzić urzędowo *ghetto*, a także noszenie żółtych łat.

To w Niemczech. A we Włoszech Wielka Rada Faszystowska uchwaliła dalsze postanowienia tyczące się żydów. Mianowicie do dnia 12 marca wszyscy żydzi zagraniczni muszą opuścić Italię, przyczem niezastosowanie się do przepisu grozi tylko 5.000 lirów grzywny, trzema miesięcami więzienia oraz przymusowem odstawieniem osobników do granicy.

To we Włoszech. A w nowej Czechosłowacji w ramach zasadniczej reformy zarządzona będzie rewizja przyznanych praw obywatelstwa państwowego z działaniem wstecz do r. 1918-go, a żydzi mają być zdecydowanie odsunięci od wszelkich stanowisk politycznych i prasy.

To w nowej Czechosłowacji. A na Węgrzech działają już ustawy antyżydowskie i istnieją tendencje do dalszego ich zaostrzania.

To na Węgrzech. A w Hiszpanii działania wojsk narodowych rozwijają się pomyślnie. Skrawek po skrawku, ale teren zajęty przez czerwonych przechodzi w ręce gen. Franco. Żydów ich tam ani jednego nie znajdziesz. Chociażby szukał ze świecą.

To w Hiszpanii. A w Palestynie poprostu.. granatami. Wojna trwa w całej. Krwawa. Prawdziwa.

To w Palestynie. A daleki, zamorski Meksyk zamyka swe granice przed ewentualnym najazdem Grynszpanów. Inne państwa Ameryki Południowej także. I Europy — również.

Ofensywa w całej pełni.

W DNIU ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI

Krzyżem Kawalerskim „*Polonia Restituta*" został odznaczony Ostap Ostwin (Kacenelenbogen).

Złotym Krzyżem Zasługi odznaczony został J. L. Mincberg, prezes gminy żydowskiej w Łodzi, za zasługi na polu pracy społecznej.

Złoty Wawrzyn Akademii Literatury otrzymał Bruno Szulc.

REWELACYJNY DOKUMENT WPŁYWÓW ŻYDOWSKICH

Żydowskie czasopismo w Londynie „*The Jewish Chronicle*“ podaje, że przywódcy sjonistów amerykańskich wpłynęli na Wilsona, by wziął udział w wojnie po stronie koalicji. Ta rewelacja znajduje się w liście adresowanym przez Landmana do dyrekcji *Jewish Chronicle* i ogłoszonym w numerze z 7.II. 1936 r. p. t. „Geneza deklaracji Balfoura”.

„Panie! *Jewish Chronicle* daje znakomitą usługę, otwierając swe szpalty dyskusji na ten bardzo ważny przedmiot i jest rzeczą korzystną, gdy rzuci się jak największe światło na genezę deklaracji wprzód, nim wymrą ci wszyscy, co brali w tem udział... Simon zgadza się teraz ze mną na zdanie, że Herbert Samuel, zgodnie ze swem własnem wyznaniem, nie grał żadnej roli w genezie targów, które skończyły się deklaracją Balfoura. Prawdziwym inicjatorem jej był James Malcolm, a towarzyszyły temu następujące okoliczności: Podczas krytycznych dni wojny 1916 r., a więc, gdy odstąpienie Rosji było bliskie i opinia żydowska w swem antyrosyjskiem nastawieniu spodziewała się, że Niemcy, gdyby zwyciężyły, dałyby im w pewnych okolicznościach Palestynę, było czynionem wiele prób ze strony aliantów celem wciągnięcia Ameryki do wojny po swej stronie. Próby te były daremne. Wówczas Malcolm, który w tym czasie był w ścisłych stosunkach ze zmarłym Markiem Lykes (sekretarzem gabinetu wojny), Picot'em (ambasadorem francuskim w Londynie) i Gout'em z Quai d'Orsay (sekcja wschodnia), powziął inicjatywę przekonania reprezentantów Anglii i Francji, że najlepszym i być może jedynym sposobem wciągnięcia do wojny prezydenta republiki amerykańskiej byłoby uzyskanie pomocy żydowstwa sjonistycznego, obiecując mu Palestynę.

Działając w ten sposób, alianci wciągnęliby do swej sprawy i zmobilizowaliby na swą korzyść na podstawie „*Quid pro quo*” siłę, której istnienia dotychczas nie podejrzewano, a mianowicie żydowstwo sjonistyczne w Ameryce i w całym świecie.

W tym czasie prezydent Wilson przywiązywał największe możliwie znaczenie do zdania Brandeisa. (Brandeis — żyd, będący wówczas przewodniczącym najwyższej izby sądownictwa amerykańskiego).

Marek Lykes otrzymał od ministra wojny pozwolenie na upoważnienie Malcolma do zbliżenia się do sjonistów na tej płaszczyźnie targów. Lecz ani Marek Lykes, ani Malcolm nie wiedzieli z kim mają się znieść. W tym celu Malcolm zwrócił się z zapytaniem do L. J. Greenberga, który przedstawił go dr. Weizmanowi i N. Sokołowowi; Malcolm ze swej strony zetknął ich z Markiem Lykesem, a później z Picot'em i Gout'em.

Wikham Steed w swej książce „*Through thirty years*” wymienia Marka Lykes i M. Malcolma, jako dwóch głównie odpowiedzialnych za deklarację Balfoura. Sjoniści, wypełniając zobowiązanie, postarali się, aby Ameryka weszła do wojny i deklaracja Balfoura z 2.XI. 1917 r. była tylko publicznem potwierdzeniem ugody ustnej z 1916 r.

Ta ustna ugoda została zawarta z wiedzą, zgodą i aprobatą nie tylko rządów: angielskiego, amerykańskiego, francuskiego i sprzymierzonych, lecz także i naczelników arabskich. To był nie gest dobrej woli, lecz traktat między rządem angielskim, a narodem żydowskim (patrz Temperley: *L'Histoire de la conference de la paix de Paris*, vol. 6 p. 173).

W Niemczech oceniono ten fakt należycie.

Wickham Steed w powyżej już wymienionej książce opowiada, że Ludendorf powiedział po wojnie, że deklaracja Balfoura była najbardziej zręcznym krokiem aliantów i że życzył sobie, żeby Niemcy pierwsze miały tę myśl (rozdz. 2 str. 392). Lord Melchett miał być tym, komu to mówił Ludendorf.

Co powiedzą na to nasi naiwniacy nie chcący wierzyć w międzynarodową politykę żydowską?

Ze sprawą deklaracji Balfoura łączy się jeszcze pewien ciekawy fakt, który podaje nam zawsze dobrze poinformowany „*The Patriot*”. Faktem tym jest ciekawa rozmowa zakonnika ze sjonistą pochodząca z 1898 r.

Oto, gdy zakonnik dziwił się, że ojcowie Syonu mieliby wkrótce opuścić Instytut św. Piotra i osiedlić się na ostatnich, poprzecznych murach Góry Oliwnej, aby zrobić miejsce dla pokolenia Symeona, mającego na nowo osiedlić się na starej ziemi i zapytywał syonistę na czem opiera swe przypuszczenie, ten mu odpowiedział: „Na wojnie światowej, której żydzi będą podżegaczami i agentami. Naogół sądzi się, że twórcami wojen są przywódcy polityczni, królowie i książęta, a tymczasem to jest błąd. Nerwem wojny jest pieniądz, a duszą prasa. Banki i dzienniki robią wojnę. A banki i dzienniki w Europie i Ameryce są w ręku żydowskiem i żydzi za pośrednictwem dzienników rozsiewają argumenty za lub przeciw wojnie i oni swemi pieniędzmi płacą koszta wojny. Oto plan syonistów: musi wybuchnąć wojna powszechna i trwać tak długo, aż narody będą doprowadzone do ostatecznego wyczerpania, zarówno pod względem fizycznym jak i finansowym i moralnym. Żydzi więc będą ją przedłużali możliwie jak najdłużej: Skoro osądzą, że nadeszła godzina, t. j. gdy wyczerpanie chrześcijan osiągnie ostatnie granice, w ten sam sposób, t. j. prasą i pieniędzmi zrobią pokój tak, jak zrobili wojnę.

Wojna ustanie, skoro nie będzie na wydatki wojenne. Ustanie nie z braku żołnierzy, lecz pieniędzy.

A więc zaczną się targi o warunki traktatów pokojowych, w których sprawy zwrócenia wydatków grają tak ważną rolę. Te koszta sami żydzi mogą płacić, będą bowiem na to dosyć bogaci.

Tak! Żydzi nie znajdą sum potrzebnych dopóty, dopóki nie będą mogli postawić swych warunków. Pierwszą rzeczą będzie zajęcie Palestyny. Jeżeli narody nie zaakceptują układów polubownie, żydzi ich zmuszą do tego siłą, odmawiając środków na prowadzenie wojny i pokój zostanie zawarty. Mogę wam mówić o naszych planach bez obawy z tej prostej przyczyny, że nikt wam nie uwierzy, gdybyście powtórzyli moje słowa. Sama przyszłość pokaże czy ja i moi się mylimy”. I nadeszła deklaracja Balfora.

Z. Z.

NAUKA I LITERATURA

ASNYK W ANEGDOCIE

Lucyna Kotarbińska. Ze wspomnień o Asnyku. Warszawa — 1938. Nakładem Księg. F. Hoesicka. Str. 62.

ROCZNICA Asnykowska (r. 1938 — setna rocznica urodzin i czterdziesta: śmierci) zaznaczyła się, prócz powodzi artykułów i notatek w prasie, także paroma pozycjami książkowemi.

Wyszła więc z druku „Korespondencja Adama Asnyka oraz materiały do życiorysu i twórczości poety” (str. 225) wydana w r. b. we Lwowie, przez Antoniego J. Mikulskiego.

O smutnym i dlatego może dziś zapomnianym poecie godziło się szerszemu ogółowi przypomnieć. Czego z pożytkiem dla wyż. wzmiankowanego ogółu dokonała p. Lucyna Kotarbińska, dobra i bliska znajoma El...y'ego z lat jego krakowskich w końcu ubiegłego stulecia.

Pierwsza i jedyna, zdaje się miłość u Adama Asnyka nie została uwieńczona powodzeniem. Nie dlatego, iżby ta pierwsza była niechętną młodemu poecie, ale ze względu na matkę, niezbyt przychylną tyle poetycznemu, zato nie tak świetnemu finansowo mariażowi.

Po raz wtóry zakochał się, dojrzałym będąc mężczyzną, w młodszej od siebie znacznie, p. Zofii Kaczorowskiej, córce znanego i wziętego lekarza poznańskiego. Kto wie, czy naturalna, ludzka tęsknota do ogniska rodzinnego nie odegrała decydującej roli w zamiarze poety, tembardziej, że zacni i gościnni doktorostwo potrafili przyhołubić wielkiego samotnika? Dość na tem, że Asnyk ożenił się w Poznaniu w r. 1875. Ale nie wiodło mu się: żona po pierwszem dziecku (syn Włodzio) zmarła, o co teściowie żywili doń niewygasłą nigdy urazę — i nawet syna wychowywali mu w nieuzasadnionej niechęci względem ojca.

A potem już ciągła samotność, choć ludzi wokoło pełno, choć żyje jeszcze ukochany ojciec.

„Miał dużo serc — jak pisze w swojej uroczej książeczce p. Kotarbińska —... A jednak nie miał — jednego serca.

Tego serca, które słucha i przeczuwa. Tego, które odgaduje, bije jednym rytmem z drugim sercem, które drży w razie jego niebezpieczeństwa, które przyśpiesza tętno — z każdą iskrą nadziei, że złe mija, które zamiera i kamienieje i stygnie — gdy zamiera tamto drugie.

Takie bywa jedno. Takiego jednego nie miał Asnyk... Duszy Asnyka nikt dotknąć nie śmiał... Drżał, jeśli ktoś niebacznie poruszył jaką nutę jego serca. Był bardzo samotny”. (str. 53/4).

*

Ciekawe szczegóły podaje autorka o działalności Asnyka jako pierwszego prezesa i założyciela Towarzystwa Szkoły Ludowej — i energii, jaką potrafił wykazać, gdy w grę wchodziła sprawa ogółu. Chodziło wówczas (r. 1894) między innemi o ufundowanie szkoły w Białej na Rusi podkarpackiej, o przeciwdziałanie żywiołowej już wówczas rutenizacji tamtejszych Polaków.

Wtedy to, na fundusz dla szkoły w Białej, imienia Asnyka, krakowskie panie zorganizowały bal, a sam poeta napisał szereg wierszy i aforyzmów dla gospodyń tej imprezy. Cytuje je p. Kotarbińska, jako utwory nie objęte dotąd żadnem wydaniem (niektóre drukowane w „Czasie”, „Nowej Reformie” i w „Dzienniku Poznańskim”, z przeznaczeniem dochodu na rzecz szkoły bialskiej; niektóre nigdzie dotąd nie drukowane).

Jeden, jakże piękny, choć beznadziejny, przepisujemy z niniejszej książeczki:

„Zranionym sercom potrzeba
Błękitów nieba,
Skrzydlatej modlitwy gońca,
Pogodnych uśmiechów słońca,
Ciszy bez końca...
Lub burzy — która przygłuszy
Żrący ból duszy —
I czarnej wyjącej nocy,
Co będzie osłonić w mocy
Ich płaszcz sierocy”. (str, 44).

Pozwalamy sobie na jedną jeszcze cytację z naszej autorki:

„Niedrukowany nigdzie wiersz, którego autograf dostałam w dniu 14 stycznia 1896 r. jest następujący:

„Ruszając w drogę, w życia poranek,
Widzimy w dali, w mgle co się pali,
Zwodnicze szczęścia obrazy
Kwiatów oazy
Cudowne postacie niebianek,
Gdy dochodzimy do kresu drogi,
Cień spotykamy tylko złowrogi.
Zato za nami lśni się tęczami
Początek przebytej drogi.

* * *

Jeszcze był drobny wiersz jeden, ale nie zanotowałam go w tej chwili, w której nam go Asnyk czytał, potem już trudno mi było go wyśledzić”. (str. 44/5).

Żywo i powabnie pisane, wspomnienia p. Kotarbińskiej spełnią świetnie swoje zadanie: przypomną blady cień El...y'ego, — a nic tak nie jest, nawet za grobem bolesne, jak „cień zapomnienia głęboki”. Przeczuwał i tego się bał poeta: „ach, serce ludzkie tak zmienne,...”.

Nie przeczuł nawrotu zainteresowań i hołdów, składanych pośmiertnie w „ukochanem mieście”, Kaliszu i w podwawelskim grodzie, świadku nietylko jego wzlotów, ale i codziennego trudu i trosk, tak nawet prozaicznych, jak te, związane z szaremi kłopotami właściciela domku przy ulicy Łobzowskiej w Krakowie.

(STAN. JÓZ.)

O NOWEJ LITERATURZE POLSKIEJ[1])

JEŻELI — jak autor słusznie zaznacza — krytyka jest sztuką nie nauką i prawom kompozycyjnym ulega na równi z poezją, dramatem i powieścią, to powinien uwzględnić i krytykę literacką, dzięki czemu dostalibyśmy obraz pełny. Książka niniejsza ma niejako uzupełniać wydany przedtem „Obraz Literatury”. Rozdział pierwszy zatytułował autor trafnie „W cieniu pawich piór”; omawia w nim powieści o tendencji rewizjonistycznej oraz realistyczne a więc Kruczkowskiego, Wiktora, Burka; autentyzm reprezentuje J. Kędziora i Boguszewska — Kornacki.

Stwierdza dalej zainteresowanie powieści człowiekiem, jednostką — dochodzące nieraz do przejawów krańcowych, jak u Zegadłowicza, Peipera — i do fanatyzmu samouwielbienia. Nie trzeba tu zapominać o wpływie „Czarodziejskiej Góry” T. Manna. Bardzo głębokie czyni autor spostrzeżenie na temat pokrewieństwa i różnic między Świętochowskim a Norwidem: obaj mają etyczny pogląd na świat z tą różnicą, że Świętochowskiego cechuje socjalistyczny antropocentryzm, a Norwida: teokratyzm katolicki. Racjonalistyczne też, zdaniem Czachowskiego, posiada oblicze Nałkowska w swoich powieściach, w których stara się ująć w rozumowe

[1]) Kazimierz Czachowski: Najnowsza Polska Twórczość Literacka 1935—1937 oraz inne szkice krytyczne. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie. 1938 we Lwowie. Str. 274 + 1 knlb + ryc. i faksim.

formy różne objawy bytu ludzkiego. Zawsze pozostanie jakaś nieodgadniona reszta. Całkowitego sensu istnienia ogarnąć nie możemy, zawsze będzie dystans między faktem naszego postępowania a dnem psychicznem. Chodzi nie tylko o to, czem jesteśmy dla ludzi i czem we własnych oczach, lecz czem wogóle jesteśmy, czyli, jaki jest sens naszego istnienia.

Obok intelektualistów jak St. Napiórkowski, widzimy tradycjonalistę S. Karpińskiego i dojrzałego klasyka Parandowskiego. Autor przecenił „Sól ziemi" Wittlina; trafnie odczuwa powinowactwo duchowe między powieściami Szelburg-Zarembiny a powieściami Dickensa i Thackeraya. Unowocześniony walterscotyzm widzi u Kossak-Szczuckiej („Krzyżowcy").

Rzeczywistość polską przedstawiają w powieści Jul. Kaden-Bandrowski, Gojawiczyńska, Kruczkowski. Niezwykłem zjawiskiem w literaturze polskiej jest Wacław Berent przez swój dar wczuwania się w różne epoki. Romantyzm i autentyzm przedstawia, przeceniony przez autora, Sergiusz Piasecki. Wytyka autorom wspomnień z czasów szkolnych niesprawiedliwość w odmalowaniu nauczycieli galicyiskich. W wielu indywidualnościach dopatruje się wpływu Conrada czy Prousta.

Bardzo subtelną analizę poświęca wierszom L. Staffa, którego ceni za epigramatyczną zwięzłość lirycznej wypowiedzi oraz surową ścisłość kanonu poetyckiego. Wyodrębnia idealną kompozycję dźwiękową, jasną i przejrzystą treść, oraz narastanie momentu wzruszeniowego. Natomiast wirtuozeria B. Leśmiana chwilami wyradza się w lśniącą lecz pustą igraszkę. Tuwim to i realista i metafizyk. Ducha „burzy i naporu" przedstawiać będzie Łobodowski: „Konflikt między wolą nieokiełznanego życia a więzami prawa społecznego, między żywiołową siłą duchowego naporu a krzepnącą w formy ustrojowe ojczyzną, znajduje w poezji Łobodowskiego wyraz niewątpliwie szczerze odczuty i mocno oddany" (209 — 210). Młode pokolenie przedstawia się ciekawie na tle czasów dzisiejszych, które są niekiedy „czasami pogardy", kiedy wre walka o nowe prawdy wychowawcze, nowe systemy filozoficzne. Poeci z natury rzeczy tworzą jednostki najwrażliwsze o ładunku wzruszeniowym serca i umysłu. Z chaosu i żywiołów powstaje nowy kosmos, napór sił duchowych odśrodkowych walczy z elementami ładu.

W literaturze mamy nie tylko mniej lub więcej głębokie spojrzenie na stającą się w oczach naszych teraźniejszość, ale i na ten nurt głęboki, płynący w duszach polskich, literatura jest świadomością i sumieniem tej świadomości zbiorowej.

Z książki Czachowskiego jeden wniosek bardzo ważny możemy wysnuć: oto literatura nasza tworzy jedną, jakże bujnem kwieciem i liśćmi obrosłą gałąź, literatury europejskiej. Mimo skłóconych tendencyj i antagonizmów najrozmaitszych narodów i państw, jest coś wspólnem, co tym przeciwnikom wspólne nadaje piętno i jeden i ten sam stygmat: to maximum napięcia sił duchowych i chęć osiągnięcia szczytów. Zjawisko to i w naszej się pojawia literaturze.

Czachowski ma rozległy aspekt porównawczy, jeśli chodzi o postacie i dzieła. Wyczuje i zanalizuje czynniki składające się na klimat duchowy naszej literatury. Takie utwory jak „Krzyżowcy", „Żelazna korona", „Laur Olimpijski", „Balet powojów" a nawet i „Niebo w płomieniach" to dzieła, do których można by zastosować w całej pełni postulat Norwida, by poeta chcąc się stać narodowym stał się nadnarodowym. Oczywista rzecz, że trzyletni przeciąg czasu nie jest „okresem" w utartem tego słowa znaczeniu, mamy więc tutaj do czynienia z rozwojem wątków, zagadnień czy aspektów rozpoczętych już dawniej. Nie mniej przeto rozpatrzenie twórczości z tej przestrzeni czasu pozwala na uchwycenie i wydobycie zasadniczych i charakterystycznych rysów. Widzieliśmy tedy rewizjonizm obok tradycjonalizmu i klasycyzmu, tęsknotę do bohaterstwa obok zanurzania się w odmętach teraźniejszości, nieporównaną subtelność wyrazu poetyckiego obok ekshibicjonizmu formy i treści i języka. To barwna mozaika dusz o rozmaitej sile napięcia i jego wyrazu, abstrahująca od rozmaitej wartości formalnej estetycznych utworów; utwory te tworzą dokument, który pozwala na odczytanie konterfektu epoki. Ten aspekt społeczny znalazł też właściwe uwzględnienie u Czachowskiego.

JAN ŚWIERZOWICZ

RUCH WYDAWNICZY

W Poznaniu nakładem księgarni św. Wojciecha wyszła książka Ludwika Posadzego p. t. „Poglądy pedagogiczne Adama Mickiewicza" (str. 386).

Pierwsze to systematyczne opracowanie Mickiewicza jako teoretyka wychowania. Dr. Ludwik Posadzy sam pedagog, stawiający swemu zawodowi wymagania szczytnej misyjności, całe życie jako myśliciel uczniem jest Mickiewicza. Porwany urokiem głębi duchowej wielkiego poety-inicjatora, studiom nad jego myślą poświęcił wiele lat życia. Przyswoił go zaś sobie takiego, jakim był w czasie wykładów w Kolegium Francuskiem w Paryżu. W wychowawcy widzi misję kapłańską, w celu zaś człowieka — świętość. Nikt lepiej i gruntowniej nie mógł dokonać trudnej pracy systematyzowania pojęć wychowawczych Mickiewicza, jak Posadzy. Ktoby się nawet nie godził z oświetleniami czy wnioskami autora, znajdzie w jego dziele cały materiał do zagadnienia, jakiemi to drogami wychowania Mickiewicz dążył, aby naród podnieść, uszczęśliwić i cały świat nim zadziwić. Wiadomo bowiem, że dokonać tego chciał przez przemianę człowieka.

W 16-tu rozdziałach Posadzy analizuje poglądy poety w tym porządku: rodzina, wychowanie w ogólności, władze duszy, cztery okresy życia, rozwój osobowości, charakter narodu, cudzoziemszczyzna, ideał pedagoga, studia uniwersyteckie, wychowanie ludu, wychowanie towarzyskie i obywatelskie, dydaktyka i metodyka M. jako nauczyciela i ojca, ocena stanowiska poety.

Książka Posadzego stanowi ważną pozycję w studiach nad Mickiewiczem, niemniejszą w literaturze pedagogicznej. Pisać się będzie o niej wiele. Nasza notatka ma na celu powiadomienie o tem, że tak piękne dzieło się ukazało. (W.)

NOWE KSIĄŻKI

Tarnawski Władysław prof. Szekspir katolikiem. Lwów 1938. Nakł. Tow. Naukowego. Str. 77.

Schopen Edmund. Morze Śródziemne areną dziejowych rozstrzygnięć. Warsz. 1938. Książnica-Atlas. Str. 120.

Życzyński Henryk. Twórczość K. H. Rostworowskiego. Lublin 1938. Tow. Wiedzy Chrz. Str. 64.

Niepodległość, listopad—grudzień (zesz. 50).

Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjalistyczny. Poznań. R. 18, z. 4.

Oświata Polska. Warsz. Rok XXXII, zesz. 4.

Lutosławska Izabela. Państwo Bobrowscy. Powieść. Poznań. Księg. Dippla.

Posadzy Ludwik dr. Poglądy pedagogiczne Adama Mickiewicza. Poznań 1938. Księg. św. Wojciecha. Str. 386.

Sprawy Narodowościowe. Dwumiesięcznik, nr. 3 r. 1938.

Szelburg Zarembina Ewa. Legendy Warszawy. Warsz. 1938. Gebethner i Wolff.

Wojciechowski Stanisław. Moje wspomnienia. Tom I. Warsz. 1938. Katowice. Atlas. Str. 367.

Tomaszewski Janusz. Śląsk Zaolzański w życiu gospodarczym Polski. Katowice 1938. Str. 42.

Pawlikowski Jan Gwalbert. O lice ziemi. Wybór pism. Warsz. 1938. Wyd. Państw. Rady Ochrony Przyrody. Skład w Kasie im. Mianowskiego. Str. XIV i 399. Z portr.

Z OBCEGO ŚWIATA

WIDMO PAŃSTWA DRUGORZĘDNEGO

RADYKALNA poprawa finansów francuskich była koniecznością. To też Izba Deputowanych zdecydowała się udzielić pełnomocnictw rządowi. Na zasadzie tych pełnomocnictw min. Reynaud wydał około trzydziestu dekretów, mających na celu uratowanie Francji przed katastrofą gospodarczą.

I oto p. Leon Blum jest już gotów przeszkadzać. Obficie szafując demagogicznymi frazesami, skrytykował posunięcia rządu, wywołując wśród słuchaczy okrzyki w rodzaju: „Daladier na szubienicę!", „Blum do rządu!" A przecież obywatele francuscy płacić dziś muszą rachunek właśnie za okres rządzenie Karbunkelsteina...

I Johaux także niezadowolony, gdyż dekrety finansowe grzebią 40-godzinny tydzień pracy. Przywódców ruchu robotniczego francuskiego nic nie obchodzi fakt, któremu dał wyraz niedawao premier Daladier, że u podłoża obecnego kryzysu Francji leży w dużej mierze spadek wydajności pracy. Według oświadczenia premiera, w okresie od 1929 r. do 1937 r. produkcja zwiększyła się w krajach skandynawskich od 30 do 50 proc., w Anglii o 24 proc., w Niemczech o 17 proc., we Francji zaś zmniejszyła się o proc. 25... „Czyż może być większe nieszczęście—mówił Daladier— jak widzieć, że narodowi francuskiemu przez spadek rozrodczości, spadek wydajności pracy i nieład finansowy grozi zejście do roli państwa drugorzędnego".

Ostry atak lewicy w imię najniższych haseł oraz najbardziej taniej demagogii spotka się napewno ze zdecydowaną postawą patriotycznej części narodu francuzkiego. Opór jej musi być nie tylko silny, ale i trwały, gdyż dla przeprowadzenia planu min. Reynaud tak, ażeby Francja mogła czerpać z niego owoce, potrzebny jest okres co najmniej lat trzech. Trzy lata rządów jednego ministra — to wydarzenie we współczesnej Francji chyba niespotykane, co świapczy, iż Francja przeżywa nie tylko okres załamania moralnego, kryzysu gospodarczego, ale że wielkiemu temu narodowi potrzebna jest też gwałtownie reforma ustroju. Czy znajdzie się taka siła polityczna, którąby się na dzieło to odważyła? — Na razie — powiedzmy otwarcie — nikogo nie widać.

A niebezpieczeństwo w zwłoce.

ŚMIERĆ KEMALA PASZY

Zmarł człowiek, który porwał się na wielkie dzieło, przerastające nie tylko człowieka, ale nawet pokolenia i trzeba przyznać, że dzieła tego w części dokonał. Odturczał Turcję w imię dla niej miłości. Operacja była nie jednokrotnie bolesna, nawet bardzo bolesna, ale też nie jednokrotnie słuszna. Pamiętajmy, że pragnienie reform wyrobiło się u tego wybitnego oficera Wielkiej Wojny właśnie na podłożu klęski, jaka dotknęła jego naród.

Odejmijmy to wszystko ze stosunku do dyktatora, co było serwilizmem i spójrzmy tzw. okiem obiektywnym na dokonania Kemala Paszy. Zeuropeizował Turcję — to powiedzenie płytkie. *Atatürk* nie Europę zaszczepiał swemu narodowi, ale wiek XIX, którego Turcja właśnie nie przechodziła.

I tu pytanie: Czy rzeczywiście każdy naród przejść musi przez wiek XIX? Wydaje się jednak, że tak. Owe sto lat stanowiło ogniwo w ewolucji, jakiej ulegał świat. Jeśli jakiemuś krajowi udało się łańcuch dziejów rozwijać bez tego ogniwa, przypominał się on już nie w formie ewolucji, ale rewolucyjnego wstrząsu, na który zaraz przychodziła reakcja współczesności, czy nowoczesności. Przykładem Hiszpania.

Turcja w całym swym ustroju i życiu była mocno zadawniona. Reformy te nie formę miały dezyderatów, ale konieczności, tylko... kiedy przyjdzie reakcja?

Bo przyjść musi. Nie wolno obecnie zbyt długo odturczać Turcji, jak nie sposób dziś walczyć zbyt długo z duszą narodu. Z zamknięciem oczu Kemala Paszy mogą odezwać się głosy krytyki, bo przedtem krytykować — ze względu na dyktaturę — było trudno. Głosy te nie będą starały się zapewne pomniejszyć zasług „ojca narodu", tam gdzie one nie wywołują dyskusji. To prawda, że w dziedzinie postępu technicznego, „unowocześnienia sprzętu" — jak byśmy powiedzieli — zrobiono niesłychanie dużo. Ale *Atatürk* miast walczyć z pewnymi tradycjami, zdawał się wydać wojnę tradycji w ogóle. Obawiamy się, iż tu naród okaże jednak większą siłę, której się oprzeć siła imienia autorytatywnego nie będzie w stanie. Wiek bowiem XX wiele rozumie zasad, które lekceważył wiek XIX.

I Turcja wiele zrozumie. I strzec będzie swej tureckości jak oka w głowie. Jedno jest rzeczą pewną: jeśli reformy pójdą tam kiedyś wbrew pomysłom oraz ideologii, tak jak ją rozumiał zmarły dyktator, to nawet i w tym wypadku złoży się wszystko na karb testamentu politycznego Kemala Paszy. Takie to już pośmiertne szczęście dyktatorów...

NA MARGINESIE

To samo, a jednak co innego. Jednocześnie prawie w Niemczech i w Polsce powiedziano żydom:

— My wam tego nigdy nie zapomnimy!

*

— No, wiesz pan, ci amerykanie to strachliwy naród! Jak oni się zlękli ludzi z Marsa...

— Wiadomo — nie przywykłszy, jak mówił Podbipięta. My tam już niczego się nie boimy.

KONFISKATA

Ostatni (49) numer „Myśli Narodowej" uległ konfiskacie za ostatni (11 wierszowy) ustęp na stronie 1-ej w artykule red. Z. Wasilewskiego. Z powodu spóźnionej pory i nadchodzącego święta (odzyskania wolności) drugiego wydania nie zarządziliśmy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.